

ułatwiająca agitację rewolucyjną w Polsce, na pograniczu wzmaga się jeszcze bardziej przez solidarność fachową — solidarność szwarcowników, którymi, jak to wykazałem, są w pewnym stopniu wszyscy absolutnie mieszkańcy pogranicza. Czy więc rząd przez ustanowienie agentów żandarmskich potrafi już nie rozbić, lecz choćby poważnie zachwiać tą podwójną solidarnością? Co do mnie, znając kraj i stosunki pograniczne, innej odpowiedzi na to pytanie, jak negatywnej, daćbym nie mógł.

## TAJNE DRUKARNIE

Mniejszą, lecz bodaj z każdym rokiem wzrastającą częścią bibuły, kursującej w Polsce, stanowi bibuła, w samym kraju wytworzona, wyprodukowana pod okiem wiecznie niepokojnej i trapiącej buntowników policji carskiej. Bibuła taka, w postaci ulotnego pisemka czy odezwy, albo też mniej więcej periodycznie się ukazującego pisma partyjnego, ma ogromne znaczenie dla każdej organizacji rewolucyjnej, chcącej szerszy wpływ na ludzi wywierać. Bibuła zagraniczna, wyprodukowana za żelaznym pierścieniem bagnatów, opasującym państwo cara, ma w wielu wypadkach tę niedogodność, że się opóźnia, że wobec kapryśnych warunków nadgranicznych nie daje się całkowicie opanować przez organizacje. Ten brak precyzji, brak, że tak powiem, elastyczności bibuły zagranicznej, rozpatrywanej, jako narzędzie rewolucyjne w rękach organizacji, zmuszał nieledwie każdą grupę rewolucyjną w państwie cara do prób tworzenia bibuły krajowej, produkowania jej na miejscu.

Najbardziej pierwotnym, studenckim, że go tak określe, sposobem jest hektograf. Urządzić go łatwo, zajmuje on bardzo mało miejsca, zniszczyć lub usunąć go z widoku nie trudno, do pracy z nim nie trzeba prawie żadnych kwalifikacji — jednym słowem, byłby on wspaniałym i niekłopotliwym sposobem, gdyby nie małe «ale» — wytwórczość hektografu jest bardzo niewielką, mogącą zadowolić najwyżej 30—40 osób, a produkty jego są nieczytelne. A jednak dzikie kagańce, nałożone przez rząd carski na wszystko, co ze świetnym wynalazkiem Gutenberga jest związane, tak są krępujące, że umożliwiają dotąd konkurencję marnego hektografu z drukiem.

Spotykałem wydawnictwa w Rosji, wydawnictwa, hektografowane w języku rosyjskim, ogromnej objętości, że wymie-

nię tu np. «Tkaczów» Hauptmana albo «Spowiedź» Tołstoja. Ile szalonej, żmudnej pracy w taki tom zostało włożone przez wydawców, ile oczu popsutych i zażawionych u czytelników tych wydawnictw! Byłem, doprawdy, zdumiony tą cyklopową pracą.

Lecz takie większe rzeczy, odbite na hektografie, są rzadkością, białymi krukami bibliograficznymi, które kiedyś w muzeach świadczyć będą o dzikim okrucieństwie caratu. Często są jednak do dziś krótkie hektografowane odezwy rewolucyjne i pisma ulotne. Nawet w Polsce, nieco kapryśnej pod tym względem w porównaniu z rdzenną Rosją i przyzwyczajonej do bardziej europejskiego i cywilizowanego druku, zdarzają się często wypadki używania hektografu dla celów rewolucyjnych. Osobliwie często ucieka się do tego środka młodzież szkolna; dlatego też nazwałem ten sposób — studenckim. Najtrudniej zaś daje się hektograf zastosować do ludu pracującego. Tutaj, gdzie nieraz samo czytanie stanowi poważną pracę, błękitne rozlane literki hektografu często są zupełnie bezużytecznymi.

W ostatnich czasach zaczęto ulepszać ten studencki sposób tworzenia bibuły krajowej. Przystosowano do hektografu maszyny piszące, wprowadzono mimeografy, cyklostyle itd. Lecz pomimo tych ulepszeń, zwiększających produktywność pracy oraz zmieniających na lepsze czytelność bibuły, niepodobna porównywać tych sposobów z drukiem. Zbyt dużo zajmują one czasu, zbyt dużo zużywają papieru, by można było zadowolić szersze wymagania przez takie środki. Dobrymi być one mogą dla produkcji, jak ją nazywamy żartobliwie, rzemieśniczej w rewolucji. Dla wielkiego przemysłu rewolucyjnego nic druku zastąpić nie zdoła.

Wobec tego nie jest wcale dziwnym, że dla każdej poważniejszej organizacji rewolucyjnej ideałem jest posiadanie tajnej drukarni. Dwie najsilniejsze organizacje w przeszłości — rosyjska Narodna Wola i polski Proletariat — były uzbrojone w tę broń nowoczesną. Pierwsza za czas swego istnienia w kilku drukarniach, raz po raz wykrywanych przez policję, wydała kilka odezw oraz 10 numerów swego pisma. Druga oprócz odezw i paru broszur wydała pięć numerów «Proletariatu».

Po rozbiciu tych organizacji w 1884 i 1885 ll. nastąpiła w państwie cara cisza rewolucyjna. Robotą rewolucyjną szła dalej nieprzerwanie, lecz przeważnie była to robota «rzemieślnicza», dłubanie, najczęściej nieskoordynowane, po różnych kątach. W ogromnej większości umysłów rewolucyjnych wy-

tworzył się nawet pewnego rodzaju nastrój, który tu nazwę przeciwr romantycznym, nastrój, dający się streścić w słowach: «nasze czasy, to nie czasy szerokich planów i zadań».

Drukarnia tajna, pismo partyjne — należały do tych szerokich «romantycznych» planów i zadań rewolucyjnych, względem których szanujących się «pozytywnych» rewolucjonistów obowiązywał pewnego rodzaju sceptycyzm i uśmiech niedowierzania. Lecz jeśli w stosunku do planów «szerokich» przeważał w owych czasach nastrój «pozytywny», to w stosunku do środków dla wykonania tych planów powszechnym był nastrój «romantyczny», powiedzmy raczej — dziecienny.

Nastrój ten da się scharakteryzować przez zabawną anegdotę, którą słyszałem o kijowskich rewolucjonistach z końca ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia.

Do Kijowa przyszedł transport bibuły — kilka pudów — który na razie został umieszczony gdzieś na przedmieściu. Chodziło o przeniesienie bibuły do miasta samego. Interes ten poruczono trzem towarzyszom z organizacji ówczesnej. Oto, jakim było ich rozumowanie:

Nieść bibułę we dnie — niedobrze, zbyt jest to widoczne, — lepiej w nocy. Brać dorożkę niebezpiecznie — dorożkarz będzie widział, — lepiej iść pieszo. Po drodze nie jest dobrze — lepiej tyłami zabudowań.

I oto nasi «romantycy» ruszyli w nocy po ową bibułę, wpakowali ją w worki i z tajemniczymi, odpowiednio do chwili, minami ruszyli nie drogą, lecz przez płoty i ogrodzenia. Naturalnie, skutek był żałosny — psy, zbudzone z drzemki, zaczęły gwałtownie ujadać, ludzie z domów przedmieścia wypadli i zabrali biednych towarzyszków, jak złodziei, do cyrkułu. Tam sprawę wyjaśniono, lecz, rzecz prosta, osadzono niefortunnnych romantyków w więzieniu.

Ta tradycja «romantycznych» środeczków rewolucyjnych, zostawiona w spuściźnie głównie przez Narodną Wolę, ciążyła w owe czasy nad ludźmi równie silnie, jak «pozytywny» nastrój umysłów. Pozytywiści, gdy krytykowali «romantyczne» plany, krytykowali je nie «pozytywnie», lecz «romantycznie», biorąc z ubogiej skarbnicy doświadczenia rewolucyjnego różne dziwactwa i śmieszności, jako dowody contra temu lub owemu «szerokiemu» planowi, a więc pomiędzy innymi i contra planom drukarnianym.

Dla rozbicia tej tradycji, dla przewyciężenia tego nastroju potrzebni byli nowi ludzie — romantycy co do planów, pozytywiści co do środków. Takimi okazali się założyciele Polskiej Partii Socjalistycznej, których działalność dla krajowej

produkcji bibuły stanowi epokę również dobrze, jak i dla rozpowszechnienia bibuły zagranicznej.

W lipcu (dnia 12) 1894 r. z tajnej drukarni P. P. S. ukazał się pierwszy numer «Robotnika», którego dotąd wyszło 52 numery, tj. pięć razy więcej w porównaniu z Narodną Wolą, organem najsilniejszej z doby powojskowej organizacji rewolucyjnej w państwie cara do niedawnych czasów. Dotąd jedynie organizacja żydowska Bund poszła w ślady P. P. S. i potrafiła urządzić tajną produkcję bibuły w kraju. Inne organizacje, tak polskie, jak rosyjskie, od czasu do czasu robią próby w tym kierunku, próby rzadkie, z efektem krótkotrwałym. Do takich prób należy «Pochodnia» narodowo-demokratyczna, kilka rosyjskich pisemek rewolucyjnych, wysypujących się zwykle przy trzecim czy czwartym numerze. Druki pochodzenia krajowego dotąd są prawie monopolem P. P. S.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że przy wypadkach, obchodzących ogół opinii publicznej, jak przyjazd cara, odsłonięcie tego lub owego pomnika, większe strejki lub poruszenia ludowe — najczęściej daje się słyszeć jedynie głos P. P. S. Inne organizacje — oprócz, jak powiedziałem, Bundu wśród Żydów — nie są w stanie sprostać temu zadaniu, nie są w stanie wypowiedzieć się publicznie z powodu tego lub owego zdarzenia w tym właśnie czasie, gdy zajmuje ono umysły ludzkie.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw — «Robotnika» i odezwo — wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co czuli jakąkolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i «pozytywistów» panowało pewnego rodzaju zdumienie i oczekiwano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni w ręce żandarmów. Wśród samych założycieli drukarni i «Robotnika» panował taki nastrój, że, jak opowiadał mi jeden z nich, nie oczekiwano, by można było bez wyspy dojść do dwunastego numeru pisma. Lecz bodaj nie omyłę się, gdy powiem, że najpowszechniejszym uczuciem było pewnego rodzaju entuzjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

Opowiadano mi, że organizacja zecerów w Warszawie zaproponowała w razie braku sił technicznych wybrać z pomiędzy nich ludzi. Dodano przy tym, że każdy z nich zgadza się, by mu zawiązano oczy, wsadzono do powozu i odwiązano dopiero w drukarni, skąd każdy z nich obowiązywał się nie wychodzić ani na chwilę i nie patrzeć przez okno dla zachowania konspiracji zupełnej. W Dąbrowie, w Hucie Bankowej, robotnicy proponowali złożyć w drukarni zaoszczędzone przez siebie dla przyszłego strejku fundusze. Sam na własne uszy

słyszałem propozycje towarzyszy, by ich wzięto do drukarni, chociażby do najzwyczajszych usług. Nawet mENERZY Narodowej Demokracji, tak wrogo obecnie względem socjalizmu usposobieni, byli nieco podnieceni nadzwyczajnym powodzeniem «Robotnika». Jeden z nich przy rozmowie ze mną w 1896 r. mówił, że «drukarnia wasza i «Robotnik» to nadzwyczajny fakt, wspaniałe zjawisko, którego waszej partii powinszować można». Naturalnie, zapatrywał się on na znaczenie tego faktu w specjalny sposób: «jak to żandarmów wściekać musi!»

W istocie żandarmi wściekali się ze złości i urządzali formalne polowania na nieuchwytnego «Robotnika». Sądząc z ciekawych pamiętników znanego szpiega Wiśniewskiego<sup>1)</sup>, wydanych przez P. P. S., żandarmi warszawscy próbowali okłamywać siebie i wyższą władzę twierdzeniem, że «Robotnik» jest wydawany za granicą, a druki, rzekomo krajowego pochodzenia, są przeszwarcowane z za kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł nawet, że papier, na którym wydrukowany jest «Robotnik», zdumiewająco jest podobny do londyńskiego papieru, używanego do zagranicznych wydawnictw P. P. S. Lecz wreszcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz po raz bowiem w numerach «Robotnika» znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego, które fizycznie nie mogły tak prędko przebiec granicę i wrócić stamtąd w postaci zadrukowanego papieru.

Wówczas drukarnia «Robotnika» stała się głównym celem nagonek żandarmskich. W przyszłości zapewne będzie znanym, jak mądre plany budowano w zarządach żandarmerii dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak, sądząc tylko z przejawów tych polowań, trzeba przyznać, że polowania te mocno przypominały rozjuszonego byka, rzucającego się na czerwoną płachtę i spotykającego pod rogami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żandarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu — jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni; były w Białymstoku — marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samym zaaresztowaniem drukarni w Łodzi żandarmeria warszawska była już na «pewnym» tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogo sprzedające siebie kokoty.

<sup>1)</sup> Antoni Wiśniewski — publicysta polski, bliski «Głosowi», szpieg, którego pamiętnik wydała P. P. S. w Londynie w 1901 p. t. «Dziennik szpiega». Zabity później przez Organizację Bojową P. P. S.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tym zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad nim z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytnej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją w piwnicach, inni — na strychach, wielu słyszało w zamieszkałych przez siebie kamienicach szmery, mające świadczyć o istnieniu drukarni itd. — wszyscy zaś osłaniali tę tajemniczą drukarnię różnymi romantycznymi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 r. pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjęta. Żandarmeria łódzka, dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszym piętrze domu pod nrem 19.

Tryumf żandarmerii był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynajmniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partii przez aresztowanie drukarni.

— Niełatwo — mówił mi pan rotmistrz — zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, niełatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

— Ależ, panie rotmistrzu! — zawołałem na to z uśmiechem — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer «Robotnika». Niech mi pan wierzy, że dla P. P. S. nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się trzydziesty szósty numer «Robotnika» z nowej drukarni, założonej przez partię<sup>1)</sup>.

Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani nie była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcja i drukarnia znajdowała się w zwykłym mieszkaniu, takim, jakich tysiące jest w każdym większym mieście. Jak wspominałem, była ona na pierwszym piętrze. Była to, jak mi mówiono, inowacja. Dotąd bowiem wystrzegano się umieszczania drukarni na piętrze. Obawiano się, by pewien szum, sprawiany przez maszynę drukarską, nie był słyszany przez mieszkańców parteru.

<sup>1)</sup> Właściwie nr 36 «Robotnika», zredagowany (tak samo, jak i nr 37) przez Stanisława Wojciechowskiego w Londynie, został odbity tamże na maszynie, zakupionej dla nowej drukarni krajowej «Robotnika», umieszczonej zaraz potem w Kijowie, gdzie «Robotnik» był drukowany od nru 38.

Co do mnie, gdy mnie poruczono redakcję «Robotnika» i urządzenie drukarni w Łodzi, nie znalazłem na parterze mieszkania.

Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tym bardziej, że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza, z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego — w tym jadałszy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi — jedno, najbliższe od wejścia, do pokoju sypialnego, drugie — do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za salonikiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim dla pracy.

Jaką była ta praca, nie mówiłem nikomu, pozostawiając otoczeniu tworzenie takiej lub innej hipotezy co do rodzaju mego zajęcia. Liczyłem na to, że w Łodzi, mieście przemysłowym i handlowym, musi być mnóstwo osób, żyjących przy tym przemyśle i handlu, a nie mających ścisłych godzin pracy poza domowej, ani zupełnie wyraźnego zajęcia dla otoczenia. Chciałem jednak imitować zajęcie techniczne, które, jak mi się zdawało, więcej odpowiadało charakterowi miasta. Tym czasem, jak się potem okazało, stróż i służba uważali mnie za prawnika, prowadzącego jakieś interesy. Zdaje się, pogląd ten wyrobił się z tego, że często widziano mnie piszącego.

Podpułkownik Gnoiński, który nas aresztował, również był tego zdania, że jestem adwokatem, bo przy rewizji jednym z pierwszych pytań jego było: «Pan jest prawnikiem?» Zresztą co do stróża, to jego pojęcie o adwokaturze było dosyć zabawne. Żona moja rozpytywała stróżową o lokatorów domu, w którym mieszkaliśmy. Otóż stróżowa twierdziła, że nad nami mieszka adwokat.

— Adwokat? — pytała żona.

— A tak, proszę pani, on całymi dniami w domu siedzi, a na noc wychodzi — odpowiedziała stróżowa.

Różnica więc pomiędzy mną a moim sąsiadem z góry była tylko ta, że ja na noc nie wychodziłem. Różnica ta nie przeszkodziła stróżowej uważać i mnie za adwokata.

Lecz wracam do urządzenia drukarni. Umebłowanie gabinetu-drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i różne wydawnictwa, potrzebne do redakcji; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego szły różne odpadki produkcji. stopniowo po-

tem spalane w piecach mieszkania; szafki składanej, w której się mieściła w górnej części maszynka drukarska, a w dolnych jej szufladkach kaszty z czcionkami i wreszcie z kilku krzesel. Oprócz tego stały dwie lampy, jedna z nich wysoka, japońska, druga na biurku. Oświetlały one nam pokój przy wieczornej robocie.

Praca zaczynała się o dziewiątej rano, gdy przychodził do nas towarzysz Rożnowski <sup>1)</sup>, były student uniwersytetu moskiewskiego, a wówczas nasz technik drukarski i mój wobec służącej i stróża pomocnik. W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek buriacki, którego przywiózł z Syberii. Podstawa bożka była wydrążona i tam z wieczora, po skończonej robocie, kładliśmy klucz od drukarni. Rożnowski brał rano klucz i przyprowadzał do porządku zewnętrznego pokój, tak, by służąca sprzątać go mogła.

W tym czasie, gdyśmy z Rożnowskim pili herbatę, żona pod pozorem, że ja nikomu oprócz niej nie pozwalałam dotykać się papierów na biurku, pomagała służącej sprzątać w gabinecie. Służąca nie widziała w gabinecie nic prócz mebli, a przy żonie, naturalnie, nie ośmielała się badać ich zawartości. Zresztą rozrzucone na biurku papiery i książki świadczyły o jakiejś inteligentnej pracy, niezrozumiałej dla niej.

Służąca w mieszkaniu, przeznaczonym na drukarnię, była to również inowacją, dotąd w tajnych drukarniach nieznaną. Tradycja rosyjska w tych wypadkach nakazywała brać, jako służącą, towarzyszkę, wtajemniczoną we wszystkie szczegóły interesu. Tradycja polska wskazywała na służące przychodnie, jako na wyjście należyte. Co do mnie, postanowiłem wziąć służącą na stałe. Było to bez wątpienia bardzo uciążliwe i wymagało wielkiej baczności, lecz miało i dobre strony.

Przede wszystkim dziwnym byłoby, gdyby w porządnym, burżuazyjnym mieszkaniu nie było stałej sługi, osobliwie, gdy praca ich tak marnie jest opłacana, jak w Łodzi. Następnie towarzyszka, jako służąca, nie uśmiechała mi się wcale. Sługi w domach miejskich stanowią swego rodzaju klub czy stowarzyszenie, znają się wzajemnie i utrzymują stały stosunek ze stróżami. Bałem się jakiegokolwiek niezręczności ze strony towarzyszki, której zadaniem byłoby udawać sługę, niezręczności, która mogłaby zwrócić na nasze mieszkanie uwagę, zrobić je przedmiotem gawęd i podpatrywań. Natomiast byłem zupełnie przekonany, że pierwsza lepsza służąca, wzięta

<sup>1)</sup> Członek P. P. S. (pseudonim «Karol», «Karolek»), który po zdobyciu fachu zecerskiego w drukarni partyjnej w Londynie składał «Robotnika» w Łodzi i został aresztowany po wykryciu jego drukarni.



z biura, zawsze może być utrzymana przez gospodarzy w przyzwyczajonym oddaleniu od tego lub owego punktu mieszkania.

Tak się też stało u nas w Łodzi. Odrazu zapowiadało się służącej, że miejsce jej jest w kuchni, że «pan» nie lubi, gdy służąca bez potrzeby wchodzi do pokoiów «pańskich». Przy tym dawało się im dużą swobodę — chętnie udzielaliśmy naszym sługom urlopów na wieczory.

Przez pół roku mieliśmy dwie sługi. Jedna z nich — sprytna, nieco zepsuta przez miasto, Józia. Tej musieliśmy się strzec ciągle — miała jednak tę dobrą stronę, że lubiła korzystać i nawet nadużywać urlopów. Pomimo swego sprytu nie domyśliła się niczego, nawet stosunku serdecznego, jaki nas łączył z towarzyszem Roźnowskim, do którego przy służbie zawsze mówiłem nieco protekcyjnie. Wobec tego Józia uważała go za równego sobie.

Pewnego razu, gdyśmy z żoną wyjechali do Warszawy, zostawiliśmy Roźnowskiego w mieszkaniu na gospodarce, Józii zaś daliśmy pieniądze na obiady dla niej i Roźnowskiego — czyli pana Karola, jak się tam nazywał — na czas naszej nieobecności.

Sądziliśmy, że Józia skorzysta z tego czasu, by wylatać się po mieście, że więc Roźnowski będzie miał możność pracować. Okazało się jednak, że sprytna Józia zagieła parol na p. Karola i rozpoczęła z nim flirt.

Gdy dała mu obiad, przyszła do pokoju, usiadła przy nim, odgrywając rolę gospodyni. Żartowała z p. Karola, który jej się wydał nieśmiałym.

— Pan zapewne przy nich — mówiła do niego — z wielkiej nieśmiałości nie dojada przy obiadach. Niechże pan teraz je dobrze. Nie trzeba ich żałować, mają dosyć — uświadamiała p. Karola, który się wściekał z takiego obrotu sprawy.

Znacznie mniej uświadomioną była druga nasza służąca, Władzia, która zastąpiła Józję. Ta była cicha, spokojna dziewczyna, zahukana i nieśmiała. Gdy spotkała tu raz ludzkie i łagodne obejście, przywiązała się ogromnie do mojej żony. Natomiast miała złe strony — umiała czytać i nie chciała, pomimo propozycji, jej czynionych, korzystać z urlopów. Przy Władzi chowaliśmy skrzętnie wszystkie nielegalne druki. Przy niej aresztowano nas. Biedna dziewczyna zanosila się od płaczu. W głowie jej nie mogło się pomieścić, że mogą zabrać i panią domu.

— Pana, jak pana — powtarzała z płaczem, — ale po co panią zabierać?

Swoją drogą muszę przyznać, że służąca, nie wtajemni-

czona w interes, jest ogromnym ciężarem w drukarni. Okoliczność ta wymagała ustawicznej czujności, ciągłego pilnowania każdego poruszenia sługi. Cały ten ciężar spadał na barki gospodyni domu — mojej żony, która od chwili, gdy służąca wchodziła do «pokoju», nie odstępowała jej ani na krok. W rzadkich chwilach, gdy żona wychodziła z domu, zastępowałem ją w tym obowiązku i przenosiłem swą pisaninę lub siadałem z książką w ręku w pokoju stołowym.

Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiliśmy się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynie. Pierwsze należało do mnie, drugie do Roźnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządzaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem «Robotnika» została rozpoczęta, nie przerywaliśmy jej, dopóki nie została skończoną. Dwunasto-stronicowy numer kosztował nas zwykle 15—16 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9—11 godzin dziennie.

Środki nasze techniczne składały się z pewnej ilości czcionek. Petitu mieliśmy na dwie i coś stronicie i garmondu na sześć. Oprócz tego pewną ilość liter tytułowych oraz tłustego petitu i garmondu. Mieściło się to w kasztach i w związanych stronicach, pozostałych z dawniejszej roboty, — kaszty i stronice leżały w szafce i otomanie.

Poza tym w szafce stała maszynka drukarska angielskiego systemu «Model-Press». Maszynka niewielka, ważąca coś około 7 pudów, z ramą małą, mieszczącą zaledwie jedną stronicę «Robotnika». I taka właśnie maszynka, używana za granicą, w krajach z cywilizowanymi prawami dla słowa drukowanego, jedynie do odbijania niewielkich ogłoszeń i biletołów wizytowych,—taka maszynka stanowiła nadzwyczajny postęp w porównaniu z przed P. P. S-ową techniką drukarską w organizacjach rewolucyjnych pod caratem.

Na maszynie, jak powiedziałem, można było odbijać odrazu tylko jedną stronicę naszego pisma i dopiero po odbiciu jednej można było przystąpić do następnej. W ciągu jednej godziny odbijaliśmy od 300 do 400 egzemplarzy. Szybkość zależała głównie od tego, czy można było w danej chwili sprawiać więcej hałasu, czy nie. W celu zmniejszenia hałasu maszynka była wszędzie, gdzie się różne jej części stykały przy pracy, oklejona gumą, rzemykami i sukrem. I raz po raz trzeba było przerywać robotę, by to lub owo w niej naprawić — przykręcić śrubkę, dolać oliwy na osie, przykleić pasek jakiegokolwiek materiału zamiast tego, który odleciał przy robocie. Co pięćdziesiąt egzemplarzy trzeba było rozsmarować farbę na ta-

lerzu i baczyć przy tym, by farby nie było za dużo, bo w tym wypadku arkusiki papieru, złożone po odbiciu jeden na drugim, ogromnie się brudziły i druk stawał się nieczytelny. Gdy, przeciwnie, brało się farby za mało, to przy małej presji, jaką rozwinąć można było przy tym systemie drukarskim, druk wychodził blade, co na petitowych osobliwie stronicach czyniło druk równie niedogodnym do czytania i niewyraźnym, szczególnie dla ludzi, nieprzyzwyczajonych do czytania, a ci przecie stanowili większość czytelników naszego pisma.

Licząc więc wszystkie przerwy w produkcji, na każdą godzinę pracy wypadało przeciętnie 250—280 egzemplarzy. A że biliśmy wówczas 1900 egzemplarzy pisma, więc samo odbijanie jednej stronicy zajmowało nam 8 godzin pracy. Gdy się zaś doliczy czas, zużyty na przygotowanie do pracy, zabijanie stronicy w ramę, zrobienie korekty i wreszcie usunięcie śladów roboty, będziemy mieli 9 co najmniej godzin tańca koło maszyny dla odbicia jednej stronicy «Robotnika». Była to nasza dzienna produkcja.

Co się tyczy hałasu, sprawianego przez robotę, to przy ostrożnym odbijaniu, gdy się niejako trzymało w garści całą maszynkę i zwracało uwagę na najmniejsze jej kaprysy, największy hałas sprawiała czynność brania z kupy papieru jednego arkusika w celu położenia go na maszynkę. Szelest papieru — oto najgłośniejsza procedura! Nic dziwnego, że w czasie samej roboty służąca z nieodstępną od niej moją żoną mogły sprzątać w sąsiednim pokoju, nie słysząc z gabinetu-drukarni żadnego podejrzanego szmeru.

Muszę jednak przyznać, że odbijanie należało do najprzykrzejszych, najnudniejszych robót, jakie znam.

Chwytasz arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiednim miejscu naprzeciw czcionek; przyciskasz rączkę maszyny — kłap! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czcionek, wałki pobiegły na talerz; podejmujesz rączkę do góry — paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było złać się niejako z tą maszynką, zastosować się zupełnie do jej poruszeń i kłapać sobie spokojnie, myśląc o czym innym. Ba! zapomniałeś się, a już słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dłubie przy kaszcie.

— Cholera! Maszyna zanadto huczy! Może podlać oliwy?  
Albo słyszysz ostrzegawcze nucenie żony, co oznaczało,

że służąca jest w pokojach, że należy bić ciszej, ostrożniej obchodzić się z kapryśną maszyną.

Karolek, gdy pracował przy maszynie, lubił pogawędzić, pożartować; co do mnie — zawsze byłem zły i milczący, gdy dotykałem żelaznej, chłodnej rączki maszyny. Niecierpliwym okiem rzucałem spojrzenia na powoli zmniejszającą się kupę papieru po prawej stronie — papieru, który jeszcze przez maszynę tego dnia przejść musiał, złościłem się na każdą przeszkodę, co mnie zmuszała do uważniejszego traktowania klekoczącej maszynki.

Maszynka wysoka była dwie trzecie metra, szerokość jej była znacznie mniejszą — nie więcej nad trzecią część metra. Z łatwością więc wchodziła do niskiej szafki, której ścianki mogły być wyjmowane przy robocie i wkładane po skończeniu pracy. Jeden człowiek nie mógł podnieść maszynki i w razie konieczności przenoszenia jej z miejsca na miejsce trzeba było do niej dwóch ludzi. Gdy zaś był przy niej tylko jeden człowiek, musiał ją przesuwać, podnosząc z kolei to jeden, to drugi koniec maszynki. Przy przenosinach i przewożeniu z mieszkania do mieszkania, lub zmianie miasta, maszynkę rozbierano na części różnej wielkości — największą była podstawa, ważąca połowę wagi całej maszynki, — pakowano do koszyków, zapełniano puste miejsca sianem lub pościelą i jazda w świat.

Maszynka, która ze swej paszczy wyrzuciła przed areztowaniem setki tysięcy różnych wydawnictw, która przez dłuższy czas stanowiła cel poszukiwań ogromnej zgrai szpiegów i żandarmów, której dłuższe istnienie było naigraniem się z potęgi rządu carskiego, — maszynka stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie, z pierwszą stronicą trzydziestego szóstego numeru w swej ramie, gdy w noc lutową wpadli do nas żandarmi. Oglądano ją z pewnym podziwem i szacunkiem. Szpicle z ciekawością dotykali się żelaza, dziwiąc się, że taka drobnostka tak duże znaczenie mieć może. Odbito na papierze stronicę, zabiła w ramy. Podpułkownik Gnoiński przeczytał półgłosem, dyktując protokół rewizji:

— Trzydziesty szósty numer «Robotnika», data dwudziesty piąty luty. Artykuł wstępny «Tryumf swobody słowa».

«Orłow, szef żandarmów «żandarma Europy», Mikołaja I, odprowadzając raz pewnego swego znajomego, odjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu. Gdy będziesz pan w Norymberdze — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan ode mnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi!»

— *Wot wam i Gutienberg!* <sup>1)</sup> — zwrócił się do mnie podpułkownik z sarkastycznym uśmiechem, wskazując na otaczających mnie i żonę policjantów. — *Da, kak widitie, ot niewo wsio zło!* <sup>2)</sup>

Artykuł wstępny traktował o zniesieniu w Austrii stempla dziennikarskiego i o zamiarze naszych towarzyszków w Galicji wydawania codziennego pisma «Naprzód». Tam był tryumf, tu porażka swobody słowa, pohańbienie wielkiego wynalazku Gutenberga.

Przyznam się, że pomimo wielu niewesołych chwil, spędzonych przy maszynie, pomimo, iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od «starego klekota», «głupiego bydłęcia» i «cholery», ścisnęło mi się serce, gdy tę «cholere» zobaczył w plugawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoiński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jak gdyby zapadało wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!

Wybaczą mi czytelnicy liryczne odstępianie od rzeczy. Jestem przekonany, że wyraziłem w nim nie swoje jedyne uczucie, uczucie człowieka, który z tą maszynką splótł swe losy. Takimi uczuciami był przejęty i niejeden ze stałych czytelników «Robotnika», gdy go doszła wieść o wzięciu przez żandarmów drukarni. Opowiadano mi, że niektórzy robotnicy rzewnymi łzami oplakiwali stratę partyjną, że powszechnie wiadomość o łódzkiej katastrofie sprawiała wstrząsające wrażenie.

Oprócz składania i odbijania druków na maszynie mieliśmy jeszcze jedną techniczną robotę — obcinanie papieru. Arkusik papieru zwykłego jest za długim dla formatu «Robotnika». Trzeba go skrócić. Przy biciu odezwy trzeba również dopasować papier do wielkości odezwy. Robota to przykra, gdy się ją wykonywa zwykłym nożem. Karolek po niej zawsze miał spuchniętą rękę i pokaleczone palce. W dodatku, jako odpadek od tej roboty, pozostawały obrzynki papieru w ogromnej ilości. Chowaliśmy je na razie do kosza. Następnie zaś korzystaliśmy z każdej okazji, by je zniszczyć — spalić w piecu. Specjalnie w tym celu kazaliśmy palić w piecach wieczorami, gdy łatwiej było uniknąć oka służącej.

Wówczas z kosza wyciągało się kupę obrzynków i pa-

<sup>1)</sup> Ot, ma pan Gutenberga.

<sup>2)</sup> Tak, jak pan widzi, od niego całe zło.

kowało się je do pieca. Naturalnie, korekty, rękopisy zużytkowane i wszelkie niepotrzebne papierki niszczyliśmy natychmiast. Codzienną wieczorem przed zejściem z roboty i rano przed jej rozpoczęciem oglądaliśmy wszystkie kąty drukarni, czy nie ma gdzie zapomnianego papieru lub czcionki, czy nie została gdzie plama od farby lub oliwy.

Przechodząc teraz do roboty redaktorskiej, zauważę przede wszystkim, że wątpię, by był jakikolwiek redaktor na świecie, który w takiej jest zależności od zecera i techniki, jak redaktor «Robotnika». Robota nad numerem zaczyna się od środka, zwykle od działu: korespondencje. Nie można inaczej postąpić, bo przecie robota ma trwać parę tygodni, mogą zająć różne wypadki, wymagające wypowiedzenia się pisma albo w artykułach, albo w kronice, kończącej numer. Odbija się stronę jedną w ciągu dnia i, rzecz prosta, z tego, co już jest wydrukowane, niepodobna nic wyrzucić, choćby nadeszły świeże, większego znaczenia, dane. Następnie wobec braku czcionek i sił technicznych wciąż trzeba się liczyć z czasem zecera, pisać to, co on w obecnej chwili składać może.

Wreszcie przekłeta robota dopasowywania swej myśli do tej lub owej szpalty do tej lub owej przestrzeni na papierze, pozostawionej do druku. Oto napisałem wstępny artykuł, do którego od środka zbliżyła się robota. Napisałem go, wkładając weń wszystko, co leżało na dnie duszy, myśląc wobec braku miejsca nad każdym słowem, dopasowując je do duszy i myśli przyszłego czytelnika. Następne artykuły już są wydrukowane, zecer składa i oblicza. Już złożył trzy czwarte wstępnego, gdy po obliczeniu wypada, że artykuł jest o osiem lub dziesięć wierszy za długi. Kładź go na łożo Prokrusta, doszukuj się słów zbytecznych, możliwych do wyrzucenia bez zmiany sensu, bez nadwyrężenia treści.

Albo np., co się nieraz przy petitowych stronicach zdarzało. Jedna strona petitowa odbija się, drugą Karolek składa. Pod wieczór oświadcza mi, że mu zabrakło litery «r».

— Wiecie — odzywa się do mnie, — możebyście mi z parę tych «r» wyrzucili z rękopisu, będzie z tym mniej kłopotu, niż przy jutrzejszej korekcie.

Materiału do teki redaktora napływa dosyć dużo, lecz przeważnie jest to materiał do działu: korespondencje. Tych jest mnóstwo. Możliwyby nimi cztery takie numery zapełnić i jeszcze zostałyby trochę do piątego. Pisane ręką najczęściej niewprawną, nieraz bez ładu i składu, przeważnie rozwlekłe, zawierają one skargi i bóle tysięcy ludzi, którzy szukają dla nich ujścia w swym skromnym piśmie. Szare to, monotonne, jak

nędza ludzka; gdzie niegdzie przebija szczerzy humor, wzrok się zatrzyma na dosadnym, ludowym określeniu, które skwapliwie redaktor podkreśla czerwonym ołówkiem, by je zachować, jak perłę, w piśmie. Znowu notatka, śpieszną, wprawna ręką skreślona na marginesie:

— Proszę o zamieszczenie, potrzebna w robocie!

To któryś z menerów, prowadzących robotę, notuje tak korespondencję. Widocznie świeży stosunek lub ma tam nastąpić strejk, czy inne wystąpienie. Odkładasz tę korespondencję na stronę.

Gdzie indziej znowu naiwne zakończenie korespondencji: «Przepraszam redakcję za styl, ale proszę wydrukować, dużo u nas ciemnych, może ich oświeci». To agitator fabryczny lub warsztatowy, biedzący się gdzieś wśród otoczenia biernych, mało mu współczujących ludzi, prosi o pomoc słowa drukowanego.

Przeczytujesz te dokumenty, wsluchujesz się w to pasmo jęków i skarg. Umieścić wszystkiego nie można. Wiesz dobrze, że korespondencja, o ile jest czytana chciwie przez robotników fabryki, która tam jest opisana, o tyle nie wzbudza żadnej prawie ciekawości w reszcie czytelników. Wybierając z pomiędzy mnóstwa korespondencji część — resztę usuwasz na bok. Teraz trzeba te korespondencje przerobić, skrócić, lecz skrócić tak, by zachować w jakikolwiek sposób piętno duchowe, wyciśnięte na niej przez autora. Doszukujesz się więc w korespondencji jakichkolwiek określeń, frazesów, słów charakterystycznych, by je zachować w druku.

Wreszcie dział «korespondencje» skończony. Nowy kłopot z kroniką i artykułami. Pismo ma charakter pisma codziennego, a zarazem wychodzi rzadko, raz na miesiąc albo i rzadziej. Proszę w dziesięciu stronicach zmieścić miesięczne albo dwumiesięczne wypadki, proszę wśród tej mnogości zatrzymać się na jednych, odrzucić inne, proszę wynaleźć tematy dla artykułów, tematy, o tyle żywotne, o tyle będące na czasie, by z pisma, a raczej numeru, zrobiły organ żywy, odpowiadający nastrojowi i potrzebom chwili. Nie wiem, jak inni redaktorowie, lecz ja nieraz suszyłem sobie głowę nad tym wszystkim, nieraz z jednego kłopotu, polegającego na tym, że nie ma o czym pisać, nie ma tematów, przechodziłem do drugiego — *embarras de richesse* tematów i zagadnień. W dodatku cała robota redaktorska prowadzona jest urywkami, obok codziennej, cztero lub pięcio-godzinnej pracy przy maszynie, która to robota z powodów konspiracyjnych i technicznych jest główną, dominującą przy rozkładzie pracy.

Lecz wreszcie robota nad numerem ma się ku końcowi. Znamionuje ten upragniony koniec przybycie tzw. «ostatnich wiadomości», dla których pozostawia się dwie stronicie pisma, lub nawet, jeśli w czasie pracy nad numerem był jaki przypływ danych ze świata partyjnego, jedna ostatnia stronica. Dla dostarczenia ostatnich wiadomości posyła się któregoś z towarzyszków do drukarni, albo też jeden z pracujących w niej wyruszyć musi po nie. Następuje uroczysta chwila, gdy ostatnia strona idzie pod prasę.

Wyteżona kilkotygodniowa praca skończona. Za kilka godzin świeży pocisk rewolucyjny wyruszy w świat, by poruszyć żywiej serca tysięcy wiernych towarzyszków pracy, budzić śpiących, pokrzepiać strudzonych, złożyć raz jeszcze świadectwo niespożytej energii ruchu, urągającego w żywe oczy piekielnej potędze cara i sług jego.

Nastrój wśród pracowników jest dobroduszny, nieco podniecony i gorączkowy. Zmęczenie i kłopoty są zapomniane. W pokoju brzmi śmiech, padają z ust żarty i dowcipy. Ile to razy chciało mi się sfotografować pracowników drukarnianych właśnie w tej radosnej chwili, gdy robota jest na ukończeniu.

Na biurku, z którego usunięto wszystko, leżą dwie duże kupy zadrukowanego papieru. Są to arkusiki, zawierające po cztery stronicie «Robotnika». Trzecia kupa leży na stoliku obok maszynki, świeci ona jedną białą stronicą — ostatnią, mającą pójść w tym numerze pod prasę. Jeden z nas staje do bicia. Oto rozlega się suchy szelest papieru, lekkie skrzyknięcie maszynki, arkusik wyskoczył z paszczy. Drugi z nas ze złożonymi już dwoma innymi arkusikami czeka. Oto ostatni arkusik już dopasowany i pierwszy egzemplarz nowego numeru gotów. Takim pójdzie w świat.

Robota na chwilę się przerywa. Oglądamy numer tak, jak gdybyśmy nie widzieli już dziesięć razy każdej literki, z których on się składa. W całości jednak to inaczej wygląda. Zapalamy papierosa, przerzucamy stronicie, dyskutujemy nad wrażeniem, jakie ta lub owa część numeru wywołać może, omawiamy techniczne braki.

— Cholera! — wołam, spostrzegając błąd korektorski, — że też wy, Karolku, tak często to «e» do góry nogami przewracacie. Żleście studiowali zecerkę, moi drodzy! Jeżeli tak było z waszymi studiami nad przyrodą, to diabła warta wasza nauka.

— No, no! — śmieje się basem Karolek, — to już rzecz korektora, pewnieście to «e» przegapili. To się wam zdarza! W ogóle fuszer z was! — odcina się, — o! patrzcie, na siód-



mej stronicy, jak rozlany jest petit, pewnieście według swego zwyczaju machnęli za dużo farby!

Oglądamy ową nieszczęsną siódmą stronicę. W istocie, za dużo było farby. Pocieszamy siebie tym, że te braki techniczne są niezbitym dowodem produkcji krajowej, która przecie zawsze jest niższą od zagranicznej pod względem wykonania.

— Oddamy te pięćdziesiąt egzemplarzy z powalaną stronicą do Warszawy — proponuje Karol, — tam ludzie są wprawniejsi do czytania, niż na prowincji.

— Albo — dodaje — wyślemy te egzemplarze za granicę. Niech zagraniczni studenci psują sobie oczy.

— Ale my tu gadu, gadu — woła Karol, — a pociąg na nas czekać nie będzie. Data już wydrukowana, cofać się niepodobna.

Po chwili słyhać znowu miarowy szelest papieru i lekki zgrzyt żelaza, kupka papieru po lewej stronie maszynki, papieru w całości już pokrytego czarnymi, świecącymi jeszcze od farby punkcikami, zwiększa się coraz bardziej.

— Można już falcować! — mówi Karolek, — nadążę z biciem.

Z biurka biorę notatki, porównywan z innymi. W notatkach jest oznaczona ilość egzemplarzy, wymaganych przez poszczególne organizacje lokalne. Lwią część, bo więcej niż trzecią, zabiera Warszawa, serce i przodownik kraju. Dalej idzie Łódź, Zagłębie, Wilno i inne punkty, objęte ruchem, gdzie dziesiątki i setki ludzi z niecierpliwością wygląda świeżego zwiastuna uporzeczywej walki o swobodę i szczęście. Kładę skorygowaną ostatecznie notatkę przed sobą, zabieram kupkę odbitego ostatniego arkusika i zaczynam falcować.

Raz, dwa, trzy — trzy arkusiki trzymam w ręku, wstrząsam nimi, równam i wreszcie załamuję przez pół, przyciskam palcem; rozczłonkowany dotąd numer, zbity w jedną całość, pada na podłogę. Za nim drugi, trzeci. Kupa na podłodze rośnie z każdą chwilą. Pracujemy jednak nie w milczeniu. Radość z powodu zakończenia pracy nie pozwala milczeć. Raz po raz zagląda do pokoju żona i paru urywanymi słowami bierze udział w naszej uroczystości. I dla niej praca, wyczerpująca jej nerwy, praca pilnowania służącej, kończy się dzisiaj. Wszy-scy promienieją z radości.

Mąci nieco radość konieczność pośpiechu. Trzeba zdążyć na pociąg, na określoną godzinę, bo już wszystko w Warszawie jest umówione. W oznaczonym z góry terminie «Robotnik» musi być dostarczony na umówione miejsce, skąd

w tej samej chwili częściami będzie wyniesiony do ludzi, już przygotowanych do tej chwili, ludzi, którzy tegoż dnia rozdadzą go pierwszym odbiorcom pisma. Opóźnić się więc nie można bez naruszenia sprawności całej maszynerii kolporterńskiej.

Raz po raz któryś z nas spogląda na zegarek, mrużąc: Czy zdążymy?»

— Dla Warszawy egzemplarze już gotowe — odzywam się, oglądając ogromną kupę papieru, leżącą obok krzesła. — Czy nie za ciężka będzie walizka z tą masą bibuły? Trzeba spróbować.

Walizka, wyciągnięta na środek pokoju, otwarta. Układam po 50 egzemplarzy, oddzielając jedną kupkę od drugiej wąskim paskiem papieru. Tam przy podziale bibuły ludzie muszą się śpieszyć, trzeba im ułatwić robotę. Podnosimy wreszcie walizkę, oceniając jej wagę. Prowadzimy spór o to, czy można jeszcze cokolwiek dołożyć do niej.

Przy obiedzie umawiamy się o przyzwoite obstawienie wyjazdu. Służąca musi być usunięta z mieszkania na tę chwilę lub też żona musi pójść do kuchni i zająć ją przez czas wynoszenia pakunków. Mówiliśmy o sprawach, które wyjeżdżający załatwić musi. Wyjeżdżającego ogarnia stopniowo «Reisefieber», odczuwa on, obok pewnego niepokoju o powodzenie zbliżającej się podróży, przyjemność wyjścia na świeże powietrze, pozbycia się na czas pewien kłopotu i obowiązków, związanych z drukarnią.

Wreszcie wszystko zapakowane, ułożone. Ubieramy się szybko, bierzemy w ręce pakunki i świeży numer «Robotnika» opuszcza drukarnię, puszczając się na niepewną podróż do rąk stałych odbiorców pisma. Chwila pożegnania, zaturkotały koła dorożki. Jeden z nas powraca do domu z lekkim niepokojem w sercu, drugi, trochę wzruszony, duma w dorożce nad przejściem przez dworzec wiedeński w Warszawie, dworzec, mocno obsadzony szpiclami i «zielonymi» dozorcami.

\* \* \*

\*

Oto jak wygląda nasza drukarnia w Łodzi. Tak samo mniej więcej muszą i musiały wyglądać drukarnie z czasów przed-łódzkich i po niej. Główna różnica polega nie na zewnętrznym wyglądzie, lecz na osobach. W łódzkiej pracował Józef i Karol (który zresztą na chrzcie świętym otrzymał imię Kazimierza), w innej jacyś iksy i igreki, z innymi nieco zale-

tami i wadami, którzy, zależnie od swej psychiki oraz warunków mieszkania i miasta, potworzą sobie inne, odmienne prawidła postępowania, inny rozkład pracy.

Opowiadano mi np. o jednym z redaktorów «Robotnika» <sup>1)</sup>, który był spokojnym tylko wówczas, gdy okno parterowego mieszkania było zamknięte. Z chwilą, gdy dla przewietrzenia lokalu otwarto okno, kręcił się niespokojnie po pokoju, przypinając opuszczone story tak, by jak najszczelniej przylegały do ramy okna. Zwykł był wówczas powtarzać:

— Jeżeli nas co zgubi, to świeże powietrze. Jestem tego pewien!

Albo też wpadał na myśl, że gdy zapalka błysnie w pokoju w czasie roboty, przechodnie z chodników mogą dojrzeć wewnątrz pokoju z maszynką drukarską, wyciągniętą do roboty z szafy. Dla zapalenia więc papierosa wychodził do drugiego pokoju lub usuwał się za szafę. Gdy zaś kto wbrew zakazowi zapalał zapalkę bez żadnej ostrożności, strofował go.

— Nie rób iluminacji! — odzywał się ostro.

O innym towarzyszu, zajęтым w drukarni, opowiadano mi, że nie znosił, by na oknie leżała jaka drukowana książka. Żartowano z niego, że gwałtownie pożąda, by go otoczenie posądziło o analfabetyzm, lecz on, niezrażony, usuwał starannie każdy druk z okna, mówiąc na usprawiedliwienie:

— To jest konieczne! W ten sposób przyzwyczajam siebie i innych — tym «innym» był, naturalnie, jego mniej porządnym i systematycznym współpracownikiem — do porządku. Dziś zostawi się na oknie jakiś druk legalny, a jutro się zauważy, gdy tam leżeć będzie numer «Robotnika» lub odezwa.

Inny znowu utworzył jakoby cały złożony system wieszania odzienia i ręczników w różnych miejscach, system, mający ubezpieczać i osłaniać maszynkę i zecera od możliwych spojrzeń z ulicy do pokoju. System polegał na tym, że wzrok przechodnia, rzucony wypadkowo na mieszkanie, zajęte na drukarnię, spotykał wszędzie jakąś naturalną i nie zwracającą uwagi zapořebę.

Co do mnie osobiście, to wyznam, że wątpię, by te prawidła miały rację bytu, by się przyczyniały do zabezpieczenia drukarni. Widzę w nich jedynie zupełnie zrozumiałą wytwór niepokoju tego lub owego towarzysza, niepokoju, który szuka jakiegoś ujścia, jakiejś roboty w celu usunięcia jego. Walka z «iluminacją» lub coś podobnego jest tym ujściem, tą robotą — uspokaja nerwy, daje pozór czynnego usuwania

<sup>1)</sup> Dr Feliks Perl.

niebezpieczeństwa, wiszącego ustawicznie nad głową towarzyszy, pracujących w drukarni.

Ta świadomość niebezpieczeństwa wraz z bezsilnością wobec niego oraz poczuciem odpowiedzialności, leżącej na towarzyszach, pracujących przy drukarni, stanowi ogromnie ciężką, wyczerpującą nerwy stronę życia drukarnianego. Przy opisie biur transportowych zauważyłem, że stanowisko to należy do najtrudniejszych i najbardziej męczących w partii. Uogólniając to założenie, zastosować je należy do wszystkich «interesów» partyjnych: biur transportowych, druków, składów.

Wtedy, gdy towarzysze, zajęci agitacją i robotą organizatorską, tworzą w wielkim stopniu te warunki, wśród których pracują, biorą żywy udział w życiu, mają wrażenia i przyjemność czynnego życia — towarzysze, zajęci w «interesach» partyjnych, zależni są od pracy tamtych, przygwożdżeni są do tego lub owego miejsca lub mieszkania, skazani na brak wrażeń i towarzystwa, na monotonne życie i bezsilne oczekiwanie mogącego spaść na ich głowy piorunu w postaci najścia zandarmów. Spróbowałem tego życia i muszę wyznać, że nie uśmiechałoby mi się wcale przykucie siebie do taczki tego lub owego «technicznego interesu» P. P. S.

Z powyższego opisu drukarni łódzkiej widocznym jest, jak mało samo urządzenie drukarni ma «romantycznych» szczegółów, jak prostym i zwyczajnym jest ono. Każde nielewdwie mieszkanie, trochę zabezpieczone od ciekawości otoczenia, może służyć, jako lokal dla drukarni. Trochę pozorów, przystosowanych do miejsca, wybranego, jako locum dla drukarni, wystarcza, by wśród ludzi, zajętych przeważnie swoimi interesami, ukryć istotny cel zamieszkania tego lub owego towarzysza. Jak najmniej tajemniczości, jak najwięcej pozorów zwykłego filisterskiego życia — oto zasada konspiracyjna, najbardziej zabezpieczająca drukarnię.

W tak zabezpieczonym mieszkaniu, mając odpowiednią maszynkę, możnaby wydrukować całe mnóstwo rzeczy, całe góry bibuły. Ograniczenia wytwórczości pochodzą przeważnie nie z wewnętrznych przyczyn, lecz z zewnętrznych — z konieczności ograniczania stosunków ze światem poza drukarnią. Te właśnie stosunki, o których przeważnie ludzie, starający się wyobrazić sobie tajną drukarnię, nie myślą wcale, te stosunki są najpoważniejszą przeszkodą produkcji i najbardziej zarazem niebezpieczną rzeczą dla wydawniczego «interesu» partii.

Niektóre stosunki są integralną częścią samej produkcji — jak np. dostarczenie papieru i farby drukarskiej. Inne

zaś są koniecznym dopełnieniem drukarni, stanowiącym o celowości jej istnienia — są nimi stosunki ze światem partyjnym, otrzymywanie materiałów, danych i wskazówek dla redaktora oraz wywóz z drukarni wyprodukowanej przez nią bibuły.

Farbę sprowadza się z zagranicy lub też zdobywa się przez stosunki partyjne w tym czy innym miejscu. W tym więc wypadku w dostarczaniu farby drukarnia jest zależna od towarzyszków, zajętych przy innej pracy, i otrzymuje ją przy okazji razem z innymi rzeczami, dostarczonymi do drukarni. Lecz papier prawie wyłącznie jest kłopotem towarzyszków drukarnianych. I kłopot to nielada.

Zdawałoby się, cóż łatwiejszego? Pójść do sklepu, zamówić potrzebną ilość, wziąć na dorożkę i dowieźć do drukarni. Ba! Przede wszystkim papieru tego zużywa się w drukarni dosyć dużo. Każde większe zamówienie zwraca uwagę kupca, chociażby dlatego, że jest to interes, korzystny dla kupca, chcącego, naturalnie, zatrzymać dla siebie nowego klienta. Stąd przy większych zakupach naturalna ciekawość kupca. Przy pierwszym kupnie papieru w Łodzi, gdyśmy z Karolkiem wybierali papier, najodpowiedniejszy ze względu na format, grubość i cenę dla naszej produkcji, usłyszeliśmy od sprzedającego mocno przykre dla nas pytanie:

— Państwo mają drukarnię? — pytał z miłym, ujmującym uśmiechem kupiec.

Co do mnie, gotów byłem za to pytanie huknąć w kark pana kupca. Bo przecie pytanie, chociażby najgłupsze, wymaga odpowiedzi.

— Drukarnię? — odparłem. — Skąd znowu! Nie stać nas na to. Mamy sklep w Tomaszowie, proszę pana.

Wątpię, by odpowiedź bardzo zadowolili interpelanta, który prawdopodobnie lepiej, niż ja, znał okoliczne sklepy i sklepiki z papierem.

Zresztą unikałem w ten sposób innej, również krępującej, propozycji, z jaką się zwykle zwracają do zakupujących większą ilość towaru.

— Gdzie pan każe odesłać? — pyta grzecznie kupiec, z zadowoleniem i szacunkiem oglądając solidnego klienta.

Niech ich diabli porwą z tą grzecznością! Wykręcaj się znowu, znajduj jakąś głupią wymówkę.

To kupowanie papieru to jedna z najprzykrzejszych funkcji w drukarni. Z prawdziwą rozkoszą i przyjemnością patrzy w tym położeniu człowiek na kupca obojętnego, nie nadszkakującego, nawet gburowatego.

I oto zbieraj papier, potrzebny dla produkcji, stopniowo,

częściami, kalkuluj, czy niezbyt często się zachodziło do tego lub owego sklepu, zbieraj dane o sprzedaży papieru w mieście, ściągaj nawet papier z miast innych. Licz się następnie z tym, że częste przywożenie pakunków do mieszkania nie należy również do rzeczy konspiracyjnych, że zwrócić to może uwagę otoczenia, zmusić do myślenia stróża, stójkowego, stojącego w pobliżu, służącej z sąsiedniego mieszkania, ciekawszego lokatora itd.

Znacznie przyjemniejsze są stosunki drukarnianych towarzyszków ze światem partyjnym. Stojąc zdaleka od wiru życia partyjnego, będąc przykuci do monotonnej, nużącej pracy, tęsknią oni zawsze do jakiegokolwiek wiadomości o ludziach, im bliskich, walczących pod jednym z nimi sztandarem. Każde zetknięcie się z tym światem partyjnym, czy to będzie przyjazd którego z towarzyszków do drukarni, czy też odwrotnie — wyjazd którego z więźniów drukarnianych w świat — stanowi swego rodzaju uroczystość. Informacje otrzymane zawsze wydają się zbyt skąpymi, rozmowy zbyt urwanymi, dane zbyt niedostatecznymi — tak mało odpowiadają one długim oczekiwaniom.

Głównie żżyma się przy tych zetknięciach się z ludźmi partii — redaktor. Miał on tysiące wątpliwości przy pisaniu i teraz wymaga rozstrzygnięcia ich.

— Wydalicie odezwę do robotników takiej i takiej fabryki — mówi, — dobrze, ja o tym muszę napisać. Lecz, u licha, nie nie wiem dotąd, jaki był skutek odezwy!

Albo też, przerzucając dostarczone mu wydawnictwa, ze złością mówi:

— Znowu nie ma niemieckich wydawnictw. Chcecie, żebym zidiociał w tej dziurze. Nie wymagajcie ode mnie mądrych artykułów, jeśli nie umiecie dbać o moją mądrość.

Zarzuca pytaniami, jakie wrażenie ta lub owa część numeru wywarła, co o numerze mówili itd.

Niestety, pretensje redaktora są zbyt często zupełnie uzasadnione. Przekłète warunki życia pod batem moskiewskim nie pozwalają na urządzenie porządnego informowania redaktora pisma partyjnego, a niepodobieństwo utrzymywania częstych stosunków z drukarnią uniemożliwia ściśle pożycie jego z ruchem partyjnym.

Te stosunki ze światem partyjnym, chociaż z natury rzeczy rzadkie, stanowią zarazem najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla drukarni. Każdy z ludzi partyjnych może przyjść do drukarni, nie będąc «czystym» — jak określa techniczne słowo ludzi, nie mających za sobą ogona w postaci

szpiega. Również i towarzysze drukarniani mogą przy wyjązkach «zabrudzić się», ocierając się o «brudne» stosunki i «nieczystych» towarzyszków.

Naturalnie, niebezpieczeństwo stosunków drukarni ze światem partyjnym stawia poważną tamę produktywności drukarni. Nie ma sensu produkować, gdy towar z fabryki nie może być zabrany. I w tym właśnie kierunku jest zwrócony cały wysiłek maszynierii organizacji, chcącej zwiększyć produkcję swej fabryki bibuły krajowej.

Oprócz większych drukarni bywają urządzone mniejsze, podręczne, przeznaczone dla załatwiania spraw, wymagających szybkości. Do takich właśnie należała odkryta w tym roku drukarenka w Brześciu. Pod względem technicznym stoją one na poziomie przed P. P. S.-owego okresu, chociaż przy energii techników rozwijają niekiedy zdumiewającą czynność.

Jak mnie zapewniano, jedna z nich w przeciągu dwóch miesięcy wydała 29.000 egzemplarzy odezwo rozmaitych.

Z jakimi trudnościami mają nieraz do walczenia towarzysze, pracujący w takich drukarniach, sędzić można z faktu następującego.

Gdy partia postanowiła wydawać odezwy żydowskie, sprowadzono trochę czcionek odpowiednich. Na razie jednak nie miano zecera, znającego żargon, a akurat wypadła potrzeba wydania odezwy żargonowej. Myślano długo, jak załatwić ten interes. Wreszcie jeden z towarzyszków wpadł na taki pomysł.

Kupiono alfabet żargonowy i pod każdą literą postawiono odpowiednią literę łacińską. Autor odezwy, napisawszy ją w żargonie, przepisał ją literami łacińskimi, zgodnymi z powyższym alfabetem. Biedny zecer, który nigdy dotąd nie widział dziwacznych literek żargonowych, nieprzyzwyczajony do odwrotnego składania, kładł do winkła literkę obok literki, nie rozumiejąc zupełnie, co robi. Nagle ku wielkiemu zdumieniu zabrakło mu litery «e». Zdawało mu się, że cała sprawa jest na nic. Na szczęście, miano do czynienia z tak dziwnym językiem, jak żargon. Gdy w kłopotie zwrócono się znowu do autora odezwy, ten przejrzał raz jeszcze rękopis, wykreślił w niektórych miejscach nieszczęsną literę «e», zastępując ją jakąś inną i ułożył odezwę tak, by tego «e» wystarczyło na całość.

Z polskimi odezwaniami, naturalnie, tak gładko załatwić się nie można. Trzeba nieraz uciekać się do różnych środków zecerskich: przerabiać «é», «ń» na «e» i «n», fuszerować, dobierając litery z innego pisma. Widziałem nawet odezwę,

z której połowa była złożona jednym pismem, druga zaś część innym. Wielu z czytelników sfuszerowanej odezwy wrusza zapewne ramionami z powodu takiej drobnostki. Lecz ja pomimo woli obok jakiejś skaleczonej litery, obok fuszerki dostrzegam zakłopotaną, zbiedzoną twarz towarzysza, pracującego z mieczem damoklesowym nad głową w jakiejś izdebce, gdy sięgając po czcionkę do którejkolwiek przedziałki naprędce skleconej kaszty, wyczuje pod palcami pustkę. Trzeba przerwać robotę, obmyśleć sposób wyjścia, zaradzić brakowi. A tu z robotą śpieszyć należy, bo odezwa spóźnić się nie może, termin odebrania jej z drukarni już jest umówiony, na określony już czas przygotowani są towarzysze, którzy odezwę rozpowszechnią.

Kończąc rozdział o drukarniach, chcę z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć, że od czasu Łodzi technika drukarska zrobiła krok naprzód. Gdy przeglądam obecne numery «Robotnika», widzę, że znacznie mniej w nim cech «krajowej» produkcji, niż dawniej. Mniej jest zabrudzonych i białych, jak twarz suchotnika, stronic, mniej fuszerek w odbijaniu. Jak mnie zapewniano, pochodzi to głównie z tej przyczyny, że obecnie użyta jest do roboty maszynka innego systemu, pozwalająca na zastosowanie większej presji. Oprócz tego, od jubileuszowego — pięćdziesiątego — numeru «Robotnik» zwiększył znacznie swój format. Do każdego numeru dodano nieledwie cztery stronice dawnego formatu, więc zwiększono go o trzecią część.

W tym czasie zaszła też inna, głębszego znaczenia, zmiana w sprawie drukarni tajnych. Dopóki drukarnia nie przeszła przez próbę ogniową aresztowania, dopóty była ona centralnym punktem życia partyjnego, dopóty istniała wieczna wątpliwość, czy w razie nieszczęścia partia będzie w stanie zapłacić lukę, dopóty wreszcie była ona szczególnym celem dla żandarmerii i jej agentów. Do katastrofy łódzkiej drukarnia, gęstymi zasłonami tajemnicy otoczona, była dla ludzi, rewolucyjnie usposobionych, czymś cudownym, czymś romantycznym, nimbem okolonym, wyglądała, jak mityczna forteca, znikająca z oczu szturmującego do niej wroga.

Lecz oto przyszła lutowa katastrofa — drukarnię aresztowano, wstępnym bojem zdobyto tajemniczą fortecę. Nie minęło jednak i dwóch miesięcy, a partia z podziwu godną energią puściła w obieg świeży numer, a po pewnym czasie, koniecznym dla dopasowania maszynierii organizacyjnej do nowych warunków, «Robotnik» zaczął się ukazywać równie periodycznie i spokojnie, jak dawniej. To, co przed ośmiu laty



uznanym było, jako nadzwyczaj śmiało, «romantyczne» przedsięwzięcie, to, czego się obawiały «pozytywne» umysły, okazało się wcale nie tak trudnym i nie tak strasznym. Partia pod względem drukarnianym przeszła względnie łatwo przez chrzest ogniowy.

Fakt ten wpłynął na spowszednienie wyjątkowego, podziwianego niegdyś, zjawiska. Ludzie się doń przyzwyczaili, uważając za zupełnie normalną rzecz, by od czasu do czasu widziano numer «Robotnika» z nieobeschłą jeszcze farbą drukarską, by w chwili odpowiedniej pojawiały się odezwy z podpisami centralnego lub lokalnego robotniczego komitetu. Ba! dają się coraz częściej słyszeć pretensje i skargi na to, iż «Robotnik» za rzadko się ukazuje, a wymagania wydawania odezw mnożą się stale. To, co niedawno jeszcze było bohaterstwem «romantyków», stało się zwyczajnym, szarym obowiązkiem, uznanym przez «najpozytywniejsze» głowy.

Bez wątpienia przyzwyczaili się do produktów krajowej fabryki bibuły i żandarmi. Zwycięstwo, odniesione w lutym 1900 r., musiało grubo zmaleć w ich oczach, gdy skutki tego zwycięstwa okazały się tak diabło małe. Sądząc z rozmów, które miałem z pp. rotmistrzami i podpułkownikami w cytadeli i więzieniu łódzkim, żandarmi mieli wysokie wyobrażenie o ciosie, przez nich partii zadany. Sądząc zaś z zaprzestania taktyki dziwacznych polowań na drukarnię, jakie dawniej były na porządku dziennym, przypuścić należy, iż żandarmi w stosunku do drukarni przeszli również od «romantyzmu» genialnych kombinacji do szarej, pozytywnej pracy łapaczów.

Po sprawie łódzkiej, tak wrogowie wolnego słowa i myśli, jak zarówno i przyjaciele, musieli się przekonać, że produkcja krajowa bibuły nie jest wytworem fantazji rewolucyjnej kilku jednostek, lecz głęboką potrzebą całego mnóstwa ludzi, potrzebą, wymagającą zadowolenia. A wobec tego drukarnia ze sfery fantastycznych projektów narwańców rewolucyjnych przeszła w krainę szarej rzeczywistości, stała się jednym z kół szerokiego mechanizmu rewolucyjnego, kołem, mającym istotny sens jedynie wtedy, gdy swymi zębami zaczepiać może inne koła, stanowiąc część ogólnego systemu.